

w studiu. Gina biega półprzytomna. I wszędybylska kamera, nieodparcie obecna, nieubłagana, zapisuje wszystko bez litości. (Dyskusyjna wydaje się jedynie nadmiernie manifestowana ruchliwość ekipy filmowej w pierwszej części przedstawienia). Stacja telewizyjna przez komórkę przywołuje Ginę do przytomności: Rób coś! Jesteś na wizji. Gina zbiera się w sobie. Zbierają się wszyscy. Muszą. Miliony patrzą! Co znaczy jednostkowe przeżywanie w takiej sytuacji! Kończy się program. Uczestnicy i pracownicy, trzymając się za ręce, wychodzą do swych widzów na pożegnanie. Mocna triumfująca muzyka po tygodniu przeżyć i pracy pełnej napięcia. Między nogami żegnających się z nami widać prześwitującą z daleka, leżącą nieruchomą postać Eldona Phelps'a. Powoli zaczynamy się zbierać do oklasków, ale jeszcze nie jesteśmy pewni, czy przedstawienie już się skończyło, czy jeszcze trwa.

A wysoko w górze, gdzie widzieliśmy fragmenty filmowe i zdjęcia reklam (czy telewizja może się bez tego obyć?), jest w czasie tego pożegnania zdjęcie Eldona Phelps'a, legitymacyjne, ale ogromne. Widoczna ma być przede wszystkim twarz. Duża, unieruchomiona jakby podwójnie, bo i tym, co się przed chwilą z nią stało. Żeby mogła się mimo tego do nas zbliżyć czy tylko przypomnieć swą zwykłość, jakby już gotową do obumierania. Twarz, która niezdolna jest, by złożyć się czy ukształtować w jednoczący i ukierunkowany jej wyraz. Ale oczy Phelps'a proszą, mają ludzką tkliwość istoty bezbronnej i to tak mocno w nich zapisałą, jakby chciały ją wyrażać także w imieniu innych bohaterów reality show. Ten moment kreacji Łukasza Chruszcza zapamiętam na długo. ●

# Getto w twierdzy Europa

Goran Vojnović  
**Czefurzy raus**  
 przełożył Tomasz Łukaszewicz  
 Wydawnictwo Międzymorze  
 Gdańsk 2010

Wydanie wspiera  
**CzasKultury**



Świat przedstawiony przez Gorana Vojnovicia w powieści „Czefurzy raus” da się ująć w kilku socjologicznych planach. Zaczęę zatem od nich.

Główny bohater: Marko Dordić, urodzony 5 marca 1989 roku. Poznajemy go, gdy ma 17 lat. Mieszka w stolicy Słowenii Lublanie, choć jego rodzice wywodzą się z Bośni. Osiedli na północnych krańcach federacyjnej Jugosławii, gdy ojciec Marka znalazł tam dobrze płatną pracę (republika słoweńska, co łatwo sprawdzić w rocznikach statystycznych, przodowała nad pozostałymi częściami Jugosławii nie tylko wysokością zarobków, ale także metrażem mieszkań, siecią nowoczesnych dróg, wysokością prywatnych oszczędności bankowych. Nie bez powodu mawiano: **Bawić się powinno w Serbii, tańczyć w Macedonii, zakochać w Bośni, ale pracować w Słowenii**). Jest zatem w Lublanie „czefurem” – imigrantem pochodzącym z południowych regionów. Wśród czefurów mieszka, uczy się, dojrzenia. Jego rewirem jest wielomieszkanowie osiedle Fużiny, miejsce znaczące, do którego jeszcze wróć. Marko trenuje koszykówkę, jest uczniem w centrum zawodowym, **najbardziej jebanej nijakiej szkole na świecie**, gdzie nauczyciele prześladowają czefurów tyleż ze względu na pochodzenie, co i ostentacyjne lekceważenie przez nich szkoły. Marko pali papierosy, ale jointów – jak jego koledzy – już nie, bo ojciec (o którym nigdy tak nie mówi, dla niego to po prostu Radovan) utopiłby go za to w Lublanicy albo zrzucił głowę w dół z 13. piętra: bo choć jego blok ma ich tylko 12, to na tę okazję ojciec dołożyłby jeszcze jedno.

Środowisko rodzinne: Marko jest synem Radovana i Ranki. Jak wspominałem, ojciec Marka znalazł w Słowenii intratne zajęcie, ale postanowił zostać tam na stałe na złość swojemu ojcu. Nie była to więc decyzja **homo oeconomicus**. Taką zresztą być nie mogła, bo Radovan reprezentuje typ tak dobrze zdiagnozowany w Pol-

sce: to **homo sovieticus**. Mąż Ranki jest absolutnie pewny, że bez znajomości niczego nie jest się w stanie załatwić. Tak jak inni czefurzy, tworzy skomplikowane siatki powiązań i wzajemnych zależności. Ta nieoficjalna ekonomia w rezultacie rzadko okazuje się skuteczne, ale wiara w jej moc nadal trwa. W kolejne niedziele Marko nie wstaje z łóżka, bo chce uniknąć nieuchronnej awantury między Radovanem i Ranką. Ten codzienny rytuał rodzinny **wkurwia** go, co oczywiste, ale też pozostawia obojętnym. Rozmowy rodzinne, Marko nie ma złudzeń, są tylko w amerykańskich serialach, w prawdziwym życiu na pewno nie. Radovan rywalizuje sam ze sobą w ilości stawiania głupich pytań (np. **Zrobiłeś pracę domową?**), Marko z kolei w tym samym czasie startuje w innej dyscyplinie: jak najkrócej można udzielić na nie odpowiedzi. Z Ranką jest inaczej, prościej, bo na jej pytania nie ma właściwie odpowiedzi (**Dlaczego nie posprzątałeś stołu po kolacji? Dlaczego nie wyjąłeś mokrych rzeczy po treningu?**...). Marko nigdy nie robi wystarczającej ilości rzeczy, więc matka może stawiać wystarczającą ilość pytań.

Środowisko rówieśnicze: koledzy Marka – Adi, Aco i Dejan. Najczęściej spotykają się na osiedlu. **Przesiadanie pod blokiem to narodowy fużinski sport**. Pewnie jest tak na każdym osiedlu, ale na Fużinach ta dyscyplina jest rozwinięta do maksimum. Kurde, małe mieszkanie, duże rodziny, napięte stosunki, niski standard (s. 32). Koledzy nawalają się czasem wspólnie winem i rakiją. Jedna z takich imprez kończy się przyjazdem policji i załadowaniem do „suki”, która wywozi ich do lasu i zostawia samych. Ojcowie chłopaków spotykają się w Kubanie, osiedlowej knajpie, skąd synowie często muszą ich – raczej nieprzytomnych – wyciągać. Incydentalnie zdarza się obiad w restauracji, ale trzeba potem szybko uciekać; nikt nie ma przecież pieniędzy na zapłacenie rachunku. Ale to w sumie wyjątkowe zdarzenie, bo w czefurskich domach +

matka/zona zawsze gotuje. Nie ma innej opcji. Gołąbki, musaka, pita, nadziewane papryki. Wszystko można łatwo odgrzać, więc żadnemu czefurowi nigdy nie spieszy się na obiad do domu.

Osiedle Fužiny to monotonne blokowisko, ponoć największe w całej byłej Jugostawii. Dla Marko to najgłupsze osiedle na świecie. Tylko tu może przydarzyć ci się taki syf. Wszyscy ludzie, którzy żyją jedni na drugich, cały ten tłok [...]. Połowa ludzi pracuje dwadzieścia cztery na dobę, a druga połowa albo jest na rencie, albo bez pracy i dlatego się nudzą, i tylko czają się na tych, którzy pracują. A ci wszyscy są nerwowi i syczą, i wkurwiają ich ci, którzy nie pracują. Dlatego ciągle napięprzają się między sobą (s. 95). Na osiedlu żyją sąsiedzi i ziomale, dwie zgoła odrębne kategorie współmieszkańców. Sąsiedziami są ludzie, których dzieci chodzą do dobrych szkół, a oni sami mają **narciarski imidż, ubierają się tak po słoweńsku** i uprawiają słoweńskie sporty, czyli jogging, jazdę na rowerze, narciarstwo. Ziomale natomiast są swoi, słuchają „narodniaków” albo turbo-folku, zawsze można do nich zajrzeć, wspólnie oblać nadarżającą się okazję, obejrzeć w telewizorze mecz NBA albo piłkarską Ligę Mistrzów. Pojawiają się jeszcze gasterbeiterzy przyjeżdżający z zagranicy mercedesami, nieodmiennie włączający w autach muzykę na full, parkujący na miejscach dla inwalidów. Marka samochodu urasta zresztą do rangi fetysza. Czefurzy muszą mieć szwabski samochód, za wszelką cenę [...] Tylko Szwaby robią dobre auta, wszystko pozostałe to gówno. Dlatego pół Bośni jeździ stuletnimi golfami, a drugie pół stuletnimi oplami (s. 178). Na blokowisku nie ma nawet porządnego boiska do gry w kosza, nad czym Marko ubolewa. Wszystko zostało zdemolowane. Co więcej, wielu ludzi między bloki wystawia stare meble, sprzęty, zwykłe śmieci – to z kolei aż korci młodych do spektakularnych podpaleń. Niektórzy mieszkańcy

z dezynwołturą sikają wprost na ścieżki, matki głośno nawołują dzieci z okien, na porządku dziennym jest sąsiedzka inwigilacja. Sam Marko przez pierwsze dwa lata chodził na swoje 10. piętro pieszo, schodami, bo jego matka nie ufała windom, których po prostu nie znała. **Wieśniaka można wyrwać ze wsi, wsi z wieśniaka się nie da**, sentencjonalnie zauważa Marko. To wszystko nie przeszkadza jednak w przyjęciu postawy przewrotnej topofilii: Fužiny rulez. Bo które osiedle ma swoje dowcipy? Fužiny je mają, ile chcesz [...] Fužiny to wioska olimpijska, bo wszyscy chodzą w dresach i każdy mówi w swoim języku (s. 191).

Ten swoisty inwentarz zdegradowanego blokowiska i jego zdegradowanych mieszkańców w 2008 roku wywołał w Słowenii prawdziwą burzę. Z jednej strony, zdobył najważniejsze nagrody literackie kraju (Fundacji Prešerna oraz nagrodę Kresnik), osiągnął najlepszy wynik sprzedaży w 2009 roku, a na jego podstawie napisano sztukę teatralną ściągającą tłumy widzów; z drugiej natomiast – ukazaniu się książki Vojnovicia towarzyszył polityczny skandal i wezwanie autora na policję celem sprawdzenia, czy obraził swoją prozą stróżów porządku. Lektura książki w Polsce na pewno takich emocji nie wzbudzi. I powodem najważniejszym nie jest fakt, że świat, język i mentalność dresiarzy (penerów, meneli, żuli) rozpoznaliśmy już dość dobrze dzięki książkom (Masłowska), przenikającym do popularnych mediów tekstom hiphopowym i sprawnym reportażyście (czasem wystarczy zresztą „dobrze” mieszkać, by ten mikrokosmos znać z pierwszej ręki). Rewolucji nie wzniesi też forma książki, zbudowana z kilkunastu rozdziałów, z których większość to donosy z rzeczywistości, zaczynających się od pytania „dlaczego”. Zdania są rwane, krótkie, pełne mniej bądź bardziej wyrafinowanych przekleństw. Krótki wycinek życia Marka – w dramatycznym momencie, gdy wyrzuca się go z koszykarskich treningów, on sam rozstaje się ze szkołą,

a w tle czai się nie tylko dokonanie przezeń czynu karalnego, ale i najpoważniejszy konflikt z ojcem – poznajemy z jego perspektywy. Trudno może mówić o klasycznym monologu wewnętrznym, to raczej zręcznie zsampłowane emocje 17-latkę, który równocześnie uczestniczy w zdarzeniach i je obserwuje.

Tym, co sprawia, że książka „Czefurzy raus” wstrząsnęła Słowenią, ale nie poruszy Polski – jest kontekst. Dla większości z nas wciąż egzotyczne i dość abstrakcyjne są kłopoty z wielokulturowością, emigrantami jako ludźmi „na przemiał” i ich slumsami, a o tym w istocie opowiada Vojnović. Choć warstwę fabularną wypełniają zdarzenia z życia złych chłopaków, to źródło tych zdarzeń wybija z dala od ich sportowych czy muzycznych fascynacji. Fascynacje te bowiem znajdują się w cieniu dyskryminacji i wykluczenia, zjawisk, które tak trudno przyjąć do wiadomości, zwłaszcza kiedy dotyczą nas i naszego świata. **Fużiny to największe osiedle w byłej Jugosławii. Mamy wszystkich. Słoweńców, Chorwatów, Bośniaków, Serbów, Czarnogórców, Macedończyków, Albańców, Cyganów, jeszcze jakiś czarnuch się znajdzie i Palestyńczycy, i mieszane małżeństwa, wszystko, co żywe. To są normalni ludzie. Nie trzeba nas od razu tłuc, nawet jeśli mamy trochę wlane – ubolewa Marko. – Pieprzona wasza rasistowska mać. Co my wam zrobiliśmy? Kurwa wasza patriotyczna mać** (s. 117).

Wykluczenie czefurów ma wiele wymiarów, ten najbardziej jaskrawy dotyczy sfery języka. Większość z nich nie zna mianowicie dobrze języka słoweńskiego, co dyskwalifikuje choćby w szkole. Czefurzy potrafią powiedzieć „do widzenia”, „cześć”, „małe z kija”, „paczka papierosów” i niewiele więcej. **Słoweńcy mocno się wkurwiają, jak ktoś nie mówi po słoweńsku, ale nie wiem, co by im to dało, gdyby wszyscy Pešiciowie mówili po słoweńsku. Chcieliby z nimi rozmawiać?** (s. 147). To jest pytanie nie tylko reto-

ryczne. Z punktu widzenia nastolatka ważne jest coś jeszcze – Marko nie potrafi pogodzić się z myślą, że nie ma swojego, lokalnego, lublańskiego klubu piłkarskiego, któremu mógłby kibicować i powierzyć swoją jak najsolenniejszą lojalność. **Jeśli urodzisz się w Barcelonie, starzy kupią ci dres Ronaldinho, legitymację klubową i w niedzielę idą z tobą na Camp Nou oglądać derby z Realem, a później całe życie chodzisz na mecze [...]. Tej pieprzonej tradycji tu nie ma [...] Jak mam się zasymilować i stać się niby jakimś Słoweńcem, skoro nie mam klubu piłkarskiego. Nie da się. I to mnie wkurwia** (s. 13–19).

Amerykański antropolog Oscar Lewis w latach 50. XX wieku formułował koncepcję kultury ubóstwa, odnosząc ją do grup, które z pokolenia na pokolenie przekazywały wzorce bezradności, odcięcia się od głównego nurtu społecznego, edukacji, udziału w życiu politycznym. Bardzo sugestywnie opisał takie społeczności w pracy „Sanchez i jego dzieci”. Wydawało się jednak, że dostrzeżony przez Lewisa problem – jakkolwiek palący – jest jedynie kwestią złego zaaplikowania zachodniej nowoczesności i dotyczy raczej marginesów ekumeny. Ostatnie lata rozwiały tę iluzję. Coraz więcej mówi się i pisze o „planecie slumsów” oraz powiększającym się „nowoczesnym marginesie” gett, które wyrastają na każdej szerokości geograficznej. Deficyt zatrudnienia i pojawienie się nowego proletariatu miejskiego, uwięzienie ludzi w zakazanych okolicach i wynikająca z tego faktu dewaluacja poczucia godności (a także ukrywanie prawdziwego adresu przed pracodawcą, kolegami, sympatią), wreszcie zetniuczony język, reifikujący realne problemy pod kloszem akademickich haśleł o imigracji oraz dyskryminacji – elementy te składają się na ekonomiczny, społeczny i kulturowy stygmat. Na pewno slumsy Etiopii (99,4% ludności żyje w slumsach), Czadu czy Afganistanu są inne niż fużińskie blokowisko. Polityczny azymut jest jednak bardzo podobny. Vojnović +

ukazuje nam kolejną odstonę gettoizacji, tym może groźniejszą, że dyskretną, dziejącą się wszak w twierdzy Unia Europejska. Trzeba wiedzieć, że w lutym 1992 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Republiki Słowenii wykreśliło z rejestru obywateli ponad 18 tysięcy osób pochodzących z byłych republik jugosłowiańskich, nadając im status obcokrajowców. Fużiny są zarówno ich ojczyzną, jak i obczyzną. To nie jest jedynie sprawa między Słoweńcami a czefurami. Musimy to wreszcie zrozumieć także w Polsce.

**Waldemar Kuligowski**

## Desant na miasto

Roland Barthes  
**Stopień zero pisania oraz Nowe eseje krytyczne**  
przełożyła Karolina Kot  
Wydawnictwo Aletheia  
Warszawa 2009

Roland Barthes jest autorem słynnego terminu „przyjemność tekstu”. Myślę sobie, że definicja ta doskonale oddaje charakter obcowania także z jego pisarstwem. Otrzymujemy właśnie książkę, w której zamieszczony został kolejny jego słynny esej „Stopień zero pisania”.

Na początek krótko o rzeczy fundamentalnej, samej istocie pisania. Literatura nie ma, zdaniem autora, charakteru autarkicznego, nie funkcjonuje w próżni – jest zależna i zmienna zmiennością układu społecznego. Jest produktem językowym, język zaś, porównany przez Barthes'a do dzikiej naturalnej przyrody, ma charakter potencjalny, bierny i aktywny zarazem, można go tedy zaanektować, jeśli tylko da się ujarzmić. Pierwszym narzędziem ujarzmięcia, przypisanym pisarzowi niejako biologicznie, jest styl. Wbrew temu, co się zwykło powszechnie uważać, nie należy on wcale do porządku sztuki. Jest bowiem czymś, co się nosi w sobie, ale się sobie nie zawdzięcza. Styl jest wartością i obciążeniem, darem natury – jak charakter pisma lub barwa głosu (niektórzy już w przedbiegu eliminowani są jako kandydaci na śpiewaków). Niezależność zyskuje pisarz dzięki indywi-